Dom przy ulicy U. — szogu3

Od autora: Ciężko mi określić gatunek moich tekstów: często jest to mieszanka wielu różnych kategorii, ale wydaje mi się, że w żadną nie wpasowuje się w stu procentach.

Dom przy ulicy U. jest czymś... Dziwnym. Mam nadzieję jednak, że przypadnie Wam do gustu!

Drzwi do piwnicy.

Nie zastanawiając się specjalnie, nacisnął na klamkę i silnym ruchem niemal nie wyrwał ich z futryny. Mrok nocnej ulicy przeszył zgrzyt rodem z horrorów. Ktoś na chodniku przyspieszył kroku. Ciekawe, co musiała ta osoba wtedy czuć. Pewnie wróciły do niej wszystkie wspomnienia z wieczornych seansów filmów grozy czy innych krwawych rzeźni.

Takie skojarzenia na pewno okazałyby się słuszne, gdyby zobaczył wejście do wspomnianej piwnicy. Za przerdzewiałą bramą ciągnął się w całości zarośnięty chodnik. Widniała jedynie mała, wydeptana w trawie ścieżka. Kto mógł ją stworzyć? Wokół tego krążyło sporo miejskich legend. Na pewno nie mogłaby to być podsklepowa inteligencja – oni też bali się zbliżać do domu numer sześć. Nawet wiosną, tak, jak teraz gdy wszystko kwitnie, ta miejska dżungla nie wygląda urokliwie. Dalej było już tylko gorzej. Zza bramy można było dostrzec jeszcze rozpadający się, betonowy murek. Mało który człowiek widział, co znajduje się za nim. A były tam równie rozpadające się schody, na których każdy krok mógł skończyć się upadkiem.

Zamontowano też drzwi. Te z kolei wyglądały na nowe, ba, bardzo zadbane. Próżno było w nich szukać podobieństwa do złotych bram czy czegokolwiek w tym rodzaju, – bądźmy poważni, to tylko piwnica – ale stanowiły opozycję do okolicy przypominającej tej z Rodziny Adamsów. Spośród tych wyjątków, które wejście widziały, można na palcach jednej ręki wyliczyć tych, którzy pociągnęli za klamkę. Tam czekało na nich...

Zupełnie nic, drzwi były niemal zawsze zamknięte.

M. jednak nie miał większych problemu z dostaniem się do środka, bo kto widział gospodarza, który nie może wejść do swojego przybytku?

Warto jednak teraz wyjaśniać pewną rzecz: to, co znajdowało się za wspomnianymi drzwiami, jedynie przypominało piwnicę. Fakt, były między nimi cechy wspólne, jak, chociażby, ustawione pod ścianą regały z omszałymi książkami, czy malutka sterta gratów tuż obok. Gdyby jednak nazwać odpowiednio te pomieszczenia, byłoby to coś na wzór szpitalnej poczekalni. Identyczne, białe, rażące w oczy światło i rząd szpitalnych krzeseł, może ukradzionych z pobliskiej przychodni. A na końcu kolejne drzwi.

Wszystkie siedzenia były zajęte. M. zlustrował wzrokiem towarzystwo. Były tu wszelkie możliwe indywidua, chociaż w podobnym przedziale wiekowym. Wysocy, grubi, wysocy i grubi, co siebie ktoś wymarzy. Brakowało jednak kobiet, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Gdy M. przechodził koło czekających, zewsząd leciały pozdrowienia i wyrazy szacunku. Co bardziej energiczni wstawali, aby uścisnąć mu rękę. Pewnie liczyli, że wejdą do środka. Głupi. M. wprawdzie wszystkie grzeczności zawsze odwzajemniał, ale nadzieję na przekroczenie progu szybko studził niewybrednym zbywaniem.

Gdy już uporał się ze wszystkimi Wtajemniczonymi – tak nazywali się ci, który dostąpili zaszczytu wej-

ścia do piwnico–poczekalni – nawet nie musiał ponownie naciskać na klamkę: drzwi same się przed nim otworzyły.

– Witam, panie – usłyszał miły głos pokojówki. – Wszystko już gotowe.

M. posłał jej delikatny uśmiech. Ta lekko skłoniła głowę i zniknęła gdzieś w korytarzu.

I znowu trzeba zrobić przerwę, aby przybliżyć nieco okoliczności. Cała rudera, jaką można obserwować z ulicy, to tylko atrapa, miraż. Chociaż nie do końca. Bo fakt faktem, dom przy ulicy U. naprawdę stoi. Można obserwować rozpadające się ściany czy wybić kamieniem okno. Jednak po przekroczeniu drugi drzwi – któryś filozof mógłby to nazwać kręgiem – zostaje się coś zupełnie przeciwnego. Wchodząc, można się poczuć jak w pałacu, ba, w ogromnym, gustownie ozdobionym i zadbanym zamku, choć próżno szukać tu płonących pochodni. Sam M. do końca nie wie, ile jest tutaj pomieszczeń oraz korytarzy – ciągle niewytłumaczalnie powstają nowe, więc gospodarz przestał zawracać sobie tym głowę. Gdzie by nie poszedł i tak trafi do jednego, tego samego, wyjścia.

Dzisiejszy dzień strasznie wymęczył M., więc marzył on tylko o solidnym posiłku i gorącej kąpieli. Służba, która utrzymywała całą posiadłość w nienagannym porządku, zawsze odgadywała jego potrzeby. Nie zdziwił się, nawet gdy w swojej sypiali, tuż obok ulubionego fotela, ustawiono już wcześniej na stole wykwintne danie. Dziś kuchni postanowiła zawędrować na daleki wschód, przynosząc ze sobą sporą porcję ramenu oraz podane w eleganckiej buteleczce sake. Nie zabrakło też pokarmu dla mózgu, więc nieopodal miski czekało nowe wydanie „Procesu".

– Nie za ciepło dziś na ramen? – rzucił M. od niechcenia gdzieś w próżnie.

– Noc ma być bardzo chłodna, panie. – Zza drzwi wychylił się kamerdyner.

Mimo młodego wieku posiadał wszystkie cechy książkowego służącego. Był skromny i cichy, nie podsłuchiwał, ale nie omieszkał też podzielić się dobrą radą lub błyskotliwą myślą, oczywiście, o ile M. chciał go słuchać. Gdyby wygląd opisywał doświadczenie w pracy, jego zadbana, promienista twarz bardziej kojarzyłaby się z nowym stażystą. Jednak włosy miał całkowicie siwe. M. zawsze kojarzył doświadczenie życiowe z siwizną na głowie.

Gospodarz wyjrzał przez okno. Gdy wchodził do swojego domu, zapowiadał się ciepły, letni wieczór. Teraz jednak niebo zachodziło ciemnymi chmurami, które mogą zapowiadać jedynie burzę, jeżeli nie jakaś większą nawałnicę. „To na pewno nie będzie wiosenny deszczyk" – pomyślał.

– Masz rację G., przecież sprawdzałem wczoraj pogodę. – Odwrócił się do kamerdynera. – Dziękuję za posiłek.

G. skłonił się nisko, co odzwierciedlało gest całej służby, i zamknął drzwi.

Gorąca, mięsna zupa przyprawiała o orgazm wszystkie kubki smakowe M. Do dyspozycji miał najlepszych kucharzy, więc każde danie spod ich rąk było genialnie. A sake? Sake, pita powoli, swoim ułożeniem idealnie kontrował chaos, jaki serwował mu Kafka. Nie musiał też długo czekać, aż burza rozszaleje się na dobre. M. nie lubił piorunów, porywistego wiatru i rzęsistego deszczu, dlatego szybko zasłonić okna, jakby to miało sprawić, że burzy nie będzie… I tak się właśnie stało. Nagle wszystko ucichło, okna przestały trzaskać, zniknęły języki wiatru wsuwające się pod drzwiami. Nastał aż zbyt błogi spo-

kój.

W momencie, gdy Józef K. umierał jak bezpański pies gdzieś na śmietnisku, ktoś energicznie pociągnął, w zasadzie to szarpnął, klamkę od piwnicznych drzwi. Do środka niemal od razu wtoczył się rwący głowy wiatr, a wraz z nim lejące się z nieba potoki. Na czystej posadzce odbiły się ślady przemokniętych butów, zostawiając po sobie miniaturowe kałuże.

Każdym centymetrem pałacu zatrzęsło. Nie uchronił się również pokój gospodarza. A stało się to dokładnie w momencie, gdy M. miał wychylić kolejny kieliszek alkoholu. Takim sposobem książka Kafki, prócz genialnym klimatem, będzie od dziś kusić czytelnika procentami. M. zawsze dbał o swoje książki, a tu takie coś… Kamerdynerowi, który niemal zawsze stał gdzieś blisko, aż trudno było sobie wyobrazić, że taki wyedukowany człowiek potrafi stworzyć długi monolog z samych bluzgów.

– Panie, ktoś przyszedł – G. wszedł do sypialni.

Nie zapukał, nie uchylił drzwi, tylko, jak gość, otworzył je niemal na oścież. To jeszcze bardziej zdenerwowało M. Nie tolerował takiego braku szacunki i zdziwiło go, że jego najlepszy jak dotąd kamerdyner o tym zapomniał. Musiał już szukać nowej służby? Jednak przelotne spojrzenie na twarz kamerdynera otrząsnął gospodarza z gniewu, a także rozwiało wątpliwości co do nowych pracowników. „On jest przerażony?" – Przeszło mu przez głowę.

Tak w prawdzie było. Przecież oddany G. w życiu nie pokusiłby się na takie nonszalanckie otwarcie drzwi. Zbyt lubił, a nawet podziwiał, swojego gospodarza. Po krótkim wywiadzie, M. nie dowiedział się prawie niczego. Wiedział, że ktoś przyszedł, ale niby kto? Każdy już przecież czekał. G. wspominał coś o burzy, o jakimś przemoczeniu, ale pan specjalnie go nie słuchał. Zarejestrował jedynie to, że służba przytrzymuje gościa w drzwiach.

– Co to za zamieszanie? – Wparował na główny korytarz M. – Co sprawiło, że musiałem przerwać lekturę? I co to za cholerne trzęsienie ziemi?!

W piwnicy atmosfera niemal dała się kroić nożem. Przez ramiona służących M. dostrzegł panikę w oczach Wtajemniczonych. Dalej siedzieli na swoich miejscach, ale spoglądali jeden na drugiego, szukając odpowiedzi lub chociaż jakiejś wskazówki. Niektórzy obgryzali paznokcie, innym w nerwicowym tiku chodziła noga. „Tykająca bomba" – pomyślał.

– To Twój dom? Drzwi były otwarte…

Wtedy ją ujrzał. Nie wiedział, co to za kobieta. Na pewno miała miły głos, gdyby to cokolwiek zmieniało. Jej blond włosy do ramion nie zachęcały, ale to stawiał na rzecz ulewy, którą, jak wskazywały ślady w piwnicy, przyniosła do środka. Rzeczywiście na dworze musi okropnie lać, gdyż intruz był kompletnie przemoczony.

– Dawaj ręcznik.

– Słucham? – odparł, nie bez powodu urażony. – Kim ty w ogóle jesteś?

– Jestem K. i powiedziałam: dawaj ręcznik, czego nie zrozumiałeś? Moja kąpiel już gotowa? – Spojrzała na M. – Powinieneś przygotować ją wcześniej. No i przesuńcie się wreszcie, tu jest strasznie zimno.

Przekroczyła próg. M. szepnął coś do służącej i zyskał jeszcze chwilę, aby perfidnie pogapić się na przybysza. Jest u siebie, może. Miała bystre spojrzenie, a przynajmniej takie odniósł wrażenie. Szczerze zdziwił go brak zacieków z rozmazanego deszczem makijażu. Kobieta stanęła na tyle blisko, że M. dostrzegł jej ciut zbyt chudy i zadarty nos, który jakby komponował się z jej zuchwałością. Przecież nie na co dzień wparowuje się nieznanej osobie do domu. Służba wreszcie przyniosła zamówione ręczniki i blondynka zaczęła się wycierać.

Posiadłość znowu się trzęsła, tym razem znacznie, znacznie mocniej. Gdzieniegdzie powoli, małymi kawałeczkami, zaczął odpadać tynk. Gospodarz był mocno zaniepokojony, ale gość nie sprawiał wrażenia zaskoczonej. Stanowiąc zupełnie przeciwieństwo Wtajemniczonych: część z nich wstrzymała oddech, niektórzy z cicha krzyknęli, jeden nawet zasłabł.

Gospodarz był bardzo skonfundowany całą tą sytuacją.

– Jak tu weszłaś? – zapytał surowo.

– Przez drzwi do tej, nie wiem, co to jest. – Spojrzała przez ramię. – Spotkałam tamtych ludzi, ich też nie znam, są jacyś dziwni. Żaden się do mnie nie odezwał – z nutą obrazy w głosie. – Nie miałam zamiaru czekać, aż łaskawie mnie wpuścisz, więc sama sobie otworzyłam. Zatrzymała mnie ta służba, czy kim tam oni są.

– To niemożliwe – wrzasnął. Zawsze irytował się, gdy czegoś nie rozumiał. – To zupełnie nierealne. Tylko ja, podkreślam: JA, mogę otworzyć te drzwi.

Wzruszyła ramionami. M. wziął głęboki wdech.

– Dobrze, ale proszę czym prędzej stąd wyjść. Jak pani widzi – przeszedł na bardziej taktowny ton. – trwają prace konserwacyjne i to niebezpiecznie tu przebywać…

– Nie mam zamiaru – Nawet nie zwróciła uwagi na jego kłamstwo. Przerwała, gdyż nie wiedziała, jak do końca ubrać swoje myśli. – Jakbyś nie zauważył, na dworze panuje straszna ulewa, ponoć tysiąclecia. Nie będę w taką pogodę szła sama na drugi koniec miasta.

– Proszę zamówić taksówkę.

Teraz już nie z każdym krokiem, a prawie z każdym słowem K. posiadłość M. trzęsła się w fundamentach. Dalej leciał tynk, bujały się ozdobne żyrandole, nawet przebywający w niej ludzie tracili równowagę. Jednak ona stała niewzruszona.

– O tej godzinie już nikt nie jeździ – uśmiechnęła się szyderczo.

„Jej to jest na rękę?" – pomyślał, a gdzieś w tle coś pękło. „Szyby do wymiany…" – westchnął w duchu. Jednak twarz kobiety zrobiła na nim wrażenie. Poczuł się winny, odpowiedzialny za burzę, za przemoczone ciuchy i rzekomy mróz w piwnico–poczekalni. Sam tego nie rozumiał, zresztą tak, jak tego, co chciał zaraz powiedzieć.

– Pod żadnym pozorem nie możesz tutaj zostać, K. – Jej imię przeszło mu przez gardło z dziwną łatwością.

„Co się ze mną dzieje?!" – panikował w myślach.

– Wiem, że masz wolną sypialnię – przerwała mu – zostanę na noc. Może nawet po północy przespaceruję się do twojej komnaty. – Ogarnęła wzrokiem cały korytarz. – W tym zamku. – Zaśmiała się niby niewinnie.

Służka zemdlała. Kamerdyner pobiegł po jakieś krople. Wtajemniczeni w piwnicy jakby mieli wybuchnąć z natłoku emocji. Przytomność stracił już co drugi. A sam gospodarz musiał oprzeć się o ścianę, bo trzęsienie ziemi stawało się nie do wytrzymania.

Posłała mu kokieteryjny uśmiech. Znowu poleciało szkło.

– Nie ma takiej opcji! – Spróbował siłą wypchnąć najeźdźcę za drzwi.

K. jednak zamiast wyjść, oplotła się wokół gospodarza i nie zamierzała puścić. Czuł jej zapach, ale nie perfum, bo te zmył deszcz. To było coś niesamowitego. W jego odczuciu była jak świeżo zaparzona kawa, jak kwitnący wiosną bez, jak świeża, nowa pościel. Nie pachniała żadną z tych rzeczy, a jednak tylko takie skojarzenia przychodziły mu do głowy.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – próbował bronić się, jak mógł. – Proszę mnie puścić i stąd wyjść!

Pocałowała go.

Wszystko ustało, ale też… Wszystko znikło.

Znikła ściana, o którą opierał się M., co poskutkowało upadkiem, ale za to na miękką trawę. Zniknęły żyrandole, korytarze, dziesiątki pomieszczeń. Jakby wszystko to, co tu kiedyś zbudowano, zostało wymazane. Ponadto zniknęła piwnico–poczekalnia wraz z Wtajemniczonymi. Ostały się za to te stare książki, które jakby odzyskały swoją świeżość. Próżno było między nimi szukać „Procesu" czy „Zbrodni i kary". Prędzej czytelnik znalazłby przygody pewnego Konrada. M. rozejrzał się wokół, na próżno szukał swojej służby. Gdzieś w oddali jednak dostrzegł sylwetkę oddanego kamerdynera – G.

– Mój… Moje… – M. się rozpłakał. Tak zwyczajnie. Czuł, że stracił wszystko, że stracił siebie.

Blondynka obok niego kucnęła.

– O, przeszła burza. – Położyła mu rękę na plecach. Spojrzał na nią: też była cała sucha. – Możemy zbudować wszystko od nowa. Zacznijmy, chociażby, od nowego regału na te książki. – Omiotła ręką pokaźną stertę literatury.

Podała mu ręcznik, w który wytarł łzy.

– To nic niewarte czytadła – dalej mocno przygnębiony spoglądał na książki. – Nie ma tam nic ciekawego, trzymałem je z sentymentu.

– „Duma i uprzedzenie", „Mistrz i Małgorzata". – Zaczęła podnosić każdą pozycję i układać w stosiki. – Ja tam lubię takie książki.

– O proszę, nawet „Lalka" się znalazła! Ciekawe co będzie na dnie…

– Czyli mam… Mamy zacząć najpierw od regału? – Złapał ją za rękę, powstrzymując przed wygrzebaniem najgłębiej leżącego tomu. – A gdzie go postawimy?

– Powoli do tego dojdziemy, zobaczysz.

Po starej posiadłości nie pozostał nawet okruch. To naprawdę smutne, bo była wyjątkowo urokliwa i wykwintnie stworzona. Dopieszczana, zadbana, nieskalana ręką obcych i to przez wiele lat.

Aż teraz nagle, tutaj, dzisiaj. W burzę! Unikajcie burz!

M. otrzepał spodnie. Zabrali się do projektowania nowej posiadłości: takiej, która nie ulegnie byle wstrząsowi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

szogu3, dodano 28.07.2018 21:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.